

Biały Krzyż na Dzikich Polach

Lubię Ukrainę. Bywałem tam nieraz i zapewne jeszcze nie raz pojadę. Wiosną tego roku byłem tam jednak w „misji specjalnej”. Towarzyszył mi dobry znajomy z Kanady, który na tych terenach się urodził; jednak w wieku kilku miesięcy, po wkroczeniu armii sowieckiej został wywieziony na Sybir, potem, kiedy wychodziła Armia generała Władysława Andersa jego rodzinie udało się dać drapaką do Afryki, a konkretnie do osiedla Kojja w Ugandzie. Czyli, do tego momentu przeszedł dokładnie taki sam szlak jak mój śp. Ojciec Henryk Waszak. Jednak pan Edward z Afryki do Polski już nie wrócił i całe życie spędził w Kanadzie. Nie ma się, co dziwić, że na starość postanowił odwiedzić miejsce, w którym się urodził. Towarzyszyłem mu jako tłumacz i człek, na ukraińskich szlakach, bywały.

Sprawa nie była tak prosta – z miejscowości, w której się urodził nie zostało nic – tyle wiedzieliśmy. Nazywała się Wola Korybutowiecka i mieściła w okolicach Wiśniowca, rezydencji Jeremiego księcia Wiśniowieckiego (słynnego, a groźnego Jaremy) i miejsca wiecznego spoczynku jego rodziców. Gdzie jest Wiśniowiec wprawdzie wiem, ale nic więcej – przypominam, że mój satelita został wywieziony z tego miejsca jako niemowlak i nie pamiętał literalnie nic!

No, to jedziemy!

Nie będę opisywał perypetii i łutu szczęścia, które pozwoliły mi to miejsce odnaleźć, jednak – udało się. Osada Wola Korybutowiecka znajdowała się nieopodal dzisiejszej wsi Stary Konynec leżącej kilka kilometrów od szosy Krzemieniec – Wiśniowiec. Od szosy do kołchozu w Konyncu położono za czasów sowieckich asfaltową drogę. No, to jedziemy! Ale nie tą drogą tylko biegnącą równolegle do socjalistycznej szosy drogą polną. Asfaltowa „szosa” nie nadaje się do użytku – jest pełna tak imponujących dziur, że nie sforsuje jej żaden pojazd kołowy. Wniosek: lepszy jest brak drogi niż droga komunistyczna. Tylko, co robią jak czarnoziem rozmoknie od deszczu? Chyba są odcięci od świata i podróżują jeno piechotą. W końcu dojechaliśmy do Konynca. I co dalej? Zaczynamy wypytywać miejscowych chłopów (a właściwie pokółchoźnianych robotników) o miejsce, w którym była polska osada. Nie wiedzą. W końcu ktoś kieruje nas do swojego brata, który tu mieszka od bardzo dawna albo i dłużej. Okazało się, że znaleźliśmy właściwego człowieka. Pan Mikoła (tak mu było na imię) wiedział gdzie była Wola Korybutowiecka i dobrze ją pamiętał. Zapakowaliśmy go samochodu i jedziemy. Przez step, bez żadnej, nawet polnej, drogi. Mam duszę na ramieniu – na szczęście wyschnięty czarnoziem jest twardy jak beton i jedzie się dobrze, choć trzeba przedzierać się przez imponujące chwasty – pola leżą odłogiem – nikt ich nie uprawia.

Wreszcie dojeżdżamy. Jest tu strumień w dolinie, jakiś zagajnik. Miejsce urokliwe. Nasz ukraiński *cicerone* zaczyna opowiadać: o, tu była szkoła, a tu Dom Polski (rodzaj świetlicy), tu ulica, a tu stały domy i zabudowania gospodarcze. Wszystko było bardzo solidne, bogate i ładne. Domy *polskije pany* (tylko tak nas tam nazywają) budowali z cegły tak pięknej, że nie trzeba było ich tynkować, a prawie każdy miał łazienkę. Obory i stodoły podobnie. Każdy miał sad i chętnie chodziliśmy tam na owoce, którymi *polskije pany* szczerze nas częstowały. Dobrze było wtedy – każdy u polskich panów mógł dostać pracę i godziwy zarobek. Tu czarnoziem metr głęboki, tak tłusty, że można nim chleb smarować, a *polskije pany* potrafiły go uprawiać i maszyny miały dobre. Wszystko tu rosło i kwitło. Pięknie było. O! A tu była świetna, brukowana droga – prosto do Wiśniowca – bliźutko było. Ukraińskie dzieci przybiegały tu bawić się polskimi rówieśnikami – nikt im nie bronił, a przy okazji na dobry obiad można było się załapać, a i do domu przynieść śliwek jabłek czy chleba. A jakie wówczas jarmarki bywały, co tydzień, w Wiśniowcu! Cała okolica się zjeżdżała! Pan Mikoła nie mógł się nas nachwalić. Słuchałem tego zbaraniały – w pobliskich, ukraińskich chutorach stoją skromniutkie domki, sklecone z byle, czego, o krzywych ścianach i zapadłych dachach. Kryte zwykle strzechą, blachą, papą, deskami, a często wszystkim tym naraz. Prawie zawsze bez wody, łazienek, a nawet prądu. Jednoizbowe lepianki z ogromniastym piecem w kuchni – jedynym ogrzewaniem w takim „mieszkanu”. A tu takie cuda stały! I gdzie one są? - zapytałem. Okazało się, że jak przyszła *sowieckaja własť* (władza radziecka) i Polacy zostali zesłani w głąb Rosji, przyjechały spychacze, całą wieś zburzyły, gruz załadowali na ciężarówki i gdzieś wywieźli. A droga? Drogę też wywieźli?! Okazuje się, że tak! Jedyną, porządną, utwardzoną drogę załadowali na ciężarówki i wywieźli! Rozebrali ją ręcznie – przywieźli grupę *zeków* (więźniów sowieckich łagrów), która drogę rozebrała. Rewelacja! Zawsze uważałem komunizm za

system zbrodniczy i nie znajdowałem dla niego cienia usprawiedliwienia – ale takie coś?! To nawet nie system tylko coś w rodzaju choroby psychicznej na tle ideologicznym z elementami ekstazy bezbożnej religijności. Sam nie wiem jak to nazwać. Przecież mogli to wszystko z powodzeniem zostawić, a w zasobnych, polskich zagrodach urządzić kołchoz, albo osadzić miejscową biedotę lub nawet czerwonych notabli. A droga? W czym im przeszkadzała? Mogli robić sobie na niej pochody pierwszomajowe lub inne czerwone korowody. A szkoła? Mogli nauczać w niej marksizmu, leninizmu i innych schizofrenicznych głupot lub przerobić na katownię NKWD. Nie, - woleli zlikwidować i dalej gnieździć się w lepiankach. W sąsiednim Wiśniowcu wysadzili nawet Kościół. Za Stalina? Ależ skąd! W 1959 roku, a więc za chruszczowowskiej „odwilży”. Dziś na miejscu, w którym była polska osada Wola Korybutowiecka jest tylko jeden, widoczny jej ślad – w miejscu gdzie był cmentarz, przed kilku laty, ktoś postawił biały Krzyż...

Później dla poprawy humoru, zjechaliśmy śladami trylogii całą zachodnią Ukrainę – Żółkiew, Lwów, Kamieniec podolski, Krzemieniec, Chocim, Zbaraż, Bar itd. Jak było, jak wyglądają te miejsca dziś i co tam się dzieje opiszę Wam innym razem.

Mariusz Warak